

Wynik nie koń, ale każdy widzi, prawie

Adam Poprawa

Żyjący autorzy mogą jeszcze aktywnie uczestniczyć w redagowaniu własnych biografii. Czy dałoby się ustalić jakąś, choćby trochę stałą, relację między objętością tychże biografii a wartością (współ)biografowanej postaci? Nie idzie tu o spis tytułów; wiadomo, są poeci jak Larkin, którzy za życia wydali wszystkiego cztery niegrube tomiki wierszy, ale są też pisarze o skwapliwości bardziej króliczej. Zgoda, bibliografia podmiotowa nie jest wypowiedzią aksjologiczną, jedno przynajmniej pozostaje bezsporne: im więcej książek kogoś, tym więcej trzeba dlań miejsca.

Co jednak z samą biografią? Czy na przykład rozwodnikowi należy się znacznie więcej linijek druku niż kawalerowi? Przy okazji pierwszego, niedawno wydanego tomu słownika biobibliograficznego Polscy pisarze i badacze literatury przełomu XX i XXI wieku, a więc w źródle wielce kompetentnym, warto podumać nad różnicami. Druk jest tu dwułamowy, liczymy więc w kolumnkach, lewych lub/i prawych. Andrzej Sosnowski na przykład zajął trzy czwarte kolumnki, Andrzej Stasiuk tyle samo. Magdalena Tulli ciut ponad połowę kolumnki. Taki jednak Jan Sochoń, wielbny poeta, teolog, filozof i, proszę państwa,

krytyk literacki – już pożył na prawie dwie kolumnki, tak dużego lebensraumu potrzebowała również biografia Agaty Tuszyńskiej. Ale można się za to dowiedzieć, że autorka „w 2001 roku podjęła wykłady w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego, a w następnym roku została etatowym pracownikiem tejże uczelni i jako starszy wykładowca omawiała sztukę reportażu i wywiadu literackiego. Równocześnie w 2002 zaczęła prowadzić zajęcia dydaktyczne w Studium Literacko-Artystycznym na Uniwersytecie Jagiellońskim”.

Maksym Gorki kazał młodym pisarzom iść w lud, dziś początkujący idą trudniej. Mnie też niełatwo, bo chwieje się koncept: w przeglądowym słowniku Świetlicki i Śliwiński także mają po dwie kolumnki. Idźmy niemniej dalej.

Powrócił tedy Pilch (niecałe półtorej kolumnki biografii w słowniku) niedawno do „Tygodnika Powszechnego”. Z fanfarami, biciem w dzwony i wykupem reklam. I napisał Andrzej Franaszek: „Tak się składa, że jest dziś także jednym z największych żyjących polskich pisarzy. Kto wie, czy nie naj-

większym”. Wiadomo: poeci to tacy jakby nie całkiem pisarze, więc się wstrzymam z enumeracją i nie będę dociekał, czy w tym wyróżnieniu chodziło również o piszących wiersze. Pozostańmy wśród prozaików. Wiem więc na pewno, że dopóki żyje Konwicki, nie może Pilch być największym polskim pisarzem. Nie sposób.

A autor *Zórz wieczornych* wspominał tamże: „Kiedyś Guccio Holoubek zwierzył mi się poufnie: – Wiesz, Tadiusz, ja bardzo lubię kobiety. – Cóż mogłem odpowiedzieć. Nie chciałem burzyć jego złudzeń i objaśniać, że bardzo wielu mężczyzn dzieli z nim to upodobanie”. Skoro bardzo wielu, niech i mnie będzie się wolno dopisać. Powiem więcej: nie tylko podobają mi się kobiety, ale i zwykłem przeglądać w soboty „Wysokie Obcasy”. I przeczytałem wywiad z Agatą Tuszyńską.

Raz jeszcze Konwicki ze wspomnianej książki: „Oczywiście, jakimś fundamentem mego zrządzenia jest pamięć dawnych czasów. Za moich czasów, panie dziejku.

Pamiętam ten świat zhierarchizowany, logiczny, ustalony raz na zawsze. Kiedy profesor to był profesor, poeta to był poeta, a hydraulik to był hydraulik. Kiedy cnota była nagradzana, a grzech karany”.

W akcji „Burza” udziału nijak wziąć nie mogłem, kiedy zaś ogłaszał Konwicki *Sennik współczesny*, zabierałem się dopiero do periodyków „Miś” oraz „Świerszczyk”, to i owo niemniej pamiętam. W latach tedy 70. ubiegłego wieku, a i w dekadzie jeszcze następnej, pisarz to był Buczkowski, to był Nowak, Konwicki rzecz jasna, Parnicki, Mrozek, Lem, Szczepański, Nowakowski lub, czemu nie, Wańkiewicz... A taki Kapuściński to był reporter, Krall też była reporterką. Potem za-

częło się mieszać. Kapuściński na przykład chciał robić za pisarza, i się udało. Poszło w lud: kiedyś w „Wiadomościach” określono go mianem jednego z największych pisarzy polskich XX wieku. Udało mu się też uchodzić za poetę, następnie za antropologa. Aż strach pomyśleć, kim jeszcze stać by się zapragnął, gdyby tylko pożył dłużej. Może symfonikiem? Matką Teresą z Kalkuty? A może samym królem Bum-Drumem? Ta ostatnia aspiracja nie byłaby w końcu sprzeczna z afrykańskimi zainteresowaniami autora *Hebanu*.

Na pocieszenie da się powiedzieć, że – przy całym zamieszaniu – „pisarz” wciąż pozostaje określeniem nobilitującym. Nie bez powodu Oriana Fallaci kazała sobie wryć na grobie „scrittore”, kamieniarze zaś nie wchodzili w niuanse genologiczne.

Kiedy rozmówczyni Tuszyńskiej pyta ją, czy po wydaniu książki o Wisnowskiej poczuła się biografką, autorka omownie, acz stanowczo koryguje: „Od nazywania są inni, ja tak o sobie nie myślę. Piszę książki. Różne. Może pisarka to lepsze określenie?”.

Wolałbym zachować wątpliwości. Jasne, rzeczownik „pisarz” obsługuje różne zatrudnienia – w starożytnym Egipcie pisarze wraz z kapłanami stali wysoko w społecznej hierarchii, w, za przeproszeniem, wojsku polskim był pisarz kompanijny... A tu? Parę biografii, trochę pracy redakcyjnej – i zaraz pisarka? I to w dodatku taka, która rwie się do uczenia innych? Jest jednak Tuszyńska nader skuteczna w wielkim skupianiu uwagi na sobie – własnej i innych. Jeśli przypomniemy sobie wszystkie anegdoty o przerostach ego tudzież o omfalocentryzmie różnych artystów, to i tak w zestawieniu z Agatą Tuszyńską wypadną oni blade, wyjdą wręcz na społeczników.

Powiada autorka Rodzinnej historii lęku, że o swoim żydowskim pochodzeniu dowiedziała się dopiero w wieku dziewiętnastu lat. Tak późne odkrycie nie przeszkadza jej jednak forsować tezy o traumie już własnej. Z zapałem opowiada dziennikarce: „Tak, mam wrażenie, że to był właśnie taki odziedziczony podświadomie po mamie strach. Tyle że ona przeżyła getto, ukrywanie się w koszach na bieliznę i piwnicach, śmierć matki i rodziny, wiedziała, czego się boi. Ja się bałam jej lękiem, niewypowiedzianym. Musiał gdzieś tkwić, w powietrzu, w ścianie, pod skórą”.

Pewnie będę staroświeckim moralistą, trudno przecież przystać na takie stawianie sprawy, takie zawłaszczenie cudzego cierpienia. Urodzona w 1957 roku Tuszyńska sugeruje ni mniej, ni więcej, że też przeżyła Zagładę. Ale zostawiam etykę, wracam do poetyki.

Określająca się jako pisarka Tuszyńska opowiada między innymi o Singerze i bez zahamowań przytacza początek swojej o nim książki: „Spóźniłam się na jego śmierć...”. A na co, przepraszam, liczyła? Że Isaac Bashevis Singer skona na jej kolanach? Że właśnie ją wybrał, by zawierzyć jej jedyną prawdę? Pardon, chyba przeholowałam. Zamiaty na pewno były skromniejsze, Tuszyńska chciała tylko stanąć przy łożu śmierci i włączyć dyktafon lub chociaż wyjąć notatnik i coś do pisania. W każdym razie: jeśli ktoś zaczyna od takiego zdania, to czytelnik w tym momencie może spokojnie książkę zamknąć, by już do niej nie wracać. Tymczasem Singer. Pejzaże pamięci, o dziwo, zadziałały. Ba! Andrzej Drawicz napisał nawet w „Tygodniku Powszechnym”: „Bardzo piękna książka. Prawdę mówiąc, wydaje się znacznie lepsza niż pisarstwo Singera”.

Widać jemu też spodobała się kobieta. Może nawet się biedak zakochał? A wspominał

Lem pewien epizod z lat młodości, kiedy „Tygodnik” nie przyjął jego tekstu: „ksiądz Piwowarczyk po dostarczeniu przede mnie wierszyka o jednej Marysi uznał za niewłaściwe, abym za pomocą organu Kurii Książęco-Metropolitalnej uwodził panienki”. Ale to było jeszcze w latach 40., Drawicz zaś zamieścił recenzję w roku 1994; rygory, nie tylko gatunkowe, zaczęły się rozluźniać sporo wcześniej.

Bohdan Tuszyński, ojciec autorki, musiał czasem przywoływać do porządku rozgadanych sprawozdawców. Kiedy więc połączył się ze stadionem, powiedzmy w Łodzi, a wysłannik zaczął się epicko rozwodzić o pogodzie i zbiorowym samopoczuciu publiczności, Tuszyński mitygował gadułę swoim pięknym, łagodnym głosem:

– Wynik, kolego, wynik...

Ciekawe, czy Agacie Tuszyńskiej dane jest czasem usłyszeć:

– Wynik, córuś, wynik... ●

XII 2012